

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

29)

Adaptacja z angielskiego.

„Krew będzie ich dziedzictwem, a ogień wiecznym udziałem”. Przekleństwo ciążyło nad nami!

Krocząc w cieniu, minąłem zatokę i spojrzałem przez tunel na wybrzeże Polkimbry, opromienione srebrnym blaskiem księżyca.

Nie dostrzegłem na niej żywej duszy. Jak daleko wzrok mój sięgał, całe wybrzeże było zupełnie puste.

Zbliżyłem się do niewielkiego wydrążenia w piasku, wypełnionego wodą morską, pozostawioną tu przez pierwsze fale ustępującego odpływu i wrzuciłem doń szybko zdjętą fałszywą brodę i perukę. Równocześnie starłem starannie farby, którymi twarz moja była umalowana. To uczyniwszy, zdjąłem buciki i wziąwszy je wraz z pudełkiem w lewą rękę, zacząłem wdzierać się bosą, powoli i ostrożnie na Skałę.

Łatwo dostałem się na jej pierwszy, ostro wystający węgiel, wilgotny jeszcze od wód, które się cofnęły, a prześliznąwszy się koło miejsca, na którym według wskazówki, danej przez złotą klamrę, miał się znajdować pierścień żelazny, zacząłem wdrapywać się wyżej. Musiałem poruszać się bardzo bacznie i oględnie, strona bowiem północna była u podstaw stokroć bardziej chropowata, więc trudniejszą do wstępowania, niż strona przeciwna, a miałem, prócz nóg, tylko jedną rękę do pomocy.

Dosięgłem jednak zamierzonego celu, nie bez wielkiego znużenia, a stanawszy na upatrzonym granitowym wykuszku, obróciłem się, aby jednym rzutem oka objąć całą zatokę Polkimbry.

I teraz jeszcze nie dojrzałem nikogo. Tylko oświetlone okna miasteczka połyskiwały w dali, jak oczy kocię. Spojrzałem na zegarek. Parę minut brakło zaledwie do wpół do dwunastej, godziny wielkiego odpływu.

Po chwili zwróciłem znowu oczy przed siebie i zdało mi się, że widzę ciemną, ruchomą plamę, ścielącą się po piasku.

Tak, nie myliłem się niezawodnie. Zaciśnąłem zęby i przytuliłem się do skały.

To był on istotnie. Szedł tuż pod ścianą skał urwistych. W miarę, jak się zbliżał, dostrzegłem, że niesie coś na ramieniu, prawdopodobnie rydel i motykę. Obrócił się, żeby się przekonać, czy kto nie kroczy za nim. Księżyc oświecał twarz jego, z której stał także charakterystykę.

Rozwarłem pudełko i wydobyłem nóż.

Już od dość dawna kazałem doń dorebić rączkę rogową w taki sposób, aby klinga, utopiona niegdyś w sercu mego ojca, mogła się składać jak w scyzoryku, tak jednakże, by w danym razie dała się otworzyć, a następnie unieruchomić przez sprężynę z zatraskiem. Gdy ją teraz otworzyłem, promienie księżyca padły na nią, oświetlając na ostrzu wyryty napis: „Ricorda ti”.

Kryjąc się ciągle w cieniach, obszedł on skałę, oglądając się wciąż poza siebie. Nikt go nie mógł widzieć, prócz mnie, stojącego nad nim. Gdy mi zniknął z oczu pod wykuszem, na którym stałem, schowałem nóż w zanadrze.

Zaklął dwa, czy trzy razy głuchym szeptem, potem zamilkł. Zatamowałem oddech w piersi... i czekałem.

Ukazał się znowu: z busolą i kilkunastokciową taśmą w rękę, przyglądając się terenowi bacznie.

Fale ustąpiły teraz zupełnie, odkrywając całkowicie podnóże Skały Umarłego, które na czterdzieści metrów najdalej ku południowi kończyło się wąskim, czarnym węglem, wznoszącym się co najwyżej dziesięciometrową wysokością nad morzem. Węgiel ten, na się rozumieć, w czasie nawet zwykłego przypływu pokryty był zupełnie wodą i na nim to prawdopodobnie rozbić się musiała „Fortuna” przed

ostatecznym zatonięciem, gdy po uderzeniu o niego odrzuciły ją następnie bałwany morskie na większą głębię.

Węgiel, według wszelkiego prawdopodobieństwa, musiał być owym „cyplem południowym”, wymienionym w klamrze.

Utwierdziwszy busolę na jednym miejscu, zaczął powoli mierzyć taśmą odległość w kierunku północno-zachodnim. Od końca południowego cypla powinno było być stóp dwadzieścia siedm, jak zapewniała klamra, on zaś, sprawdzwszy to pilnym wymiarem, nogą wydeptał dziurę w piasku, poczem zwrócił się ku skałom, tym razem w stronę północną.

Czekałem ciągle.

Zaczął szukać wskazanego przez klamrę pierścienia żelaznego, który dawniej służyć musiał do umocowania linami łódek, a nawet i większych statków. Kłął głośno, bo nie mógł znaleźć. Po paru minutach jednakże ujrzałem go oddalającego się od skały i ciągnącego taśmę, obecnie wprost w kierunku pełnego zachodu. Szedł powoli, wciąż oglądając się wkoło, jak ścigany przez psiarnię zwierząt dziki.



„Ujrzałem go kłęzącego na dnie i pełnymi garściami przesypującego drogie kamienie”.

Nic teraz nie było widać, prócz wiszącej nad naszymi głowami okrągłej tarczy księżyca, piasków, oświeconych snopami jego promieni i fal, rozbijających się w znacznym oddaleniu spienionymi grzywami. Nic nie było słychać, prócz westchnień wiatru, zawodzącego żałośnie.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa dokonane przez niego pomiary były ściśle, bo zatrzymał się przy dziurze, którą wyłobił nogą w piasku. Tu stał chwilę zamyślony. Wyjął klamrę, która załśniła w jego rękę i wpatrywał się w nią czas jakiś. Prawdopodobnie, po zastanowieniu się, uczuł wewnętrzne zadowolenie, bo udał się pod skałę po rydel i motykę.

Przytulony do skały, wciąż dalej czekałem.

W miejscu, w którym przecięły się wymierzone linie, zaczął kopać.

Twarzą zwrócony był do morza, a plecami do mnie, mogłem więc obecnie przyglądać mu się wygodniej i bez obawy, że mnie spostrzeże. Kopał sprawnie i szybko, a kupa wyrzucanego przezeń piasku, wzrastała w mgnieniu oka.

Nagle posłyszałem stuknięcie rydla o coś twardego. O ile mi się zdawało, nie mógł to być jeszcze skarb. Klamra mówiła o głębokości czterech stóp i sze-

ściu cali, a dół nie liczył prawdopodobnie więcej nad trzy stopy.

Colliver schylił się i podniósł coś, czemu się przypatrywał uważnie. I ja wychyliłem się nieco, żeby zobaczyć podniesiony przedmiot. Gdy odwrócił się bokiem... ujrzałem w jego rękę czaszkę ludzką.

Może to była czaszka jednego z rozbitków tu zatopionej „Fortuny”, a może nawet należała do Johna Railton, który także padł ofiarą skarbu. Dla zdobycia go mordował ludzi, później zaś sam utracił przezeń życie. Colliver w tak ponury sposób nie zastanawiał się widocznie, bo uśmiechnąwszy się właściwym sobie piekielnym uśmiechem, odrzucił czaszkę daleko w stronę morza.

Poczem zaczął znowu kopać.

Pracował tym razem bez odpoczynku przeszło dwadzieścia minut, wybierając z dołu coraz więcej piasku i odrzucając go na dość znaczną odległość na prawo i lewo. Przypuszczałem, że musiał już przekroczyć głębokość w klamrze wskazaną, bo parę razy wydobywał ją z kieszeni i pilnie się jej przyglądał, jakby chciał przekonać się, czy ma kopać dalej.

Po każdej takiej przerwie zabierał się na nowo do roboty z większym niż poprzednio wysiłkiem. Nagle rydel uderzył o coś, co głucho zadźwięczało pod uderzeniem. Colliver pochylił się i przyjrzał przedmiotowi, poczem zbity w wilgotne bryły piasek począł wyrzucać na boki z niesłychaną szybkością.

Skarb był znaleziony nareszcie!

Wróg mój pracował teraz z szalonym pospiechem. Z miejsca, na którym stałem, słyszałem odgłos jego chrypliwego oddechu, świadczącego jak bardzo był zmęczony. Nagle przestał kopać, obejrzał się w około badawczym wzrokiem, usiadł na piasku, a potem ostrożnie spuścił się w wykopany dół, tak, że w jednej chwili znikł mi z oczu.

Nadszedł moment, w którym i ja działać musiałem.

Wydobywszy nóż z zanadru i otworzywszy go tak, aby mógł być użyty do odparcia i zadania ciosu, zeszedłem powoli ze skały po jej południowym zboczu. Colliver tak był pochłonięty oglądaniem i badaniem zdobyczy, że nie widział i nie słyszał, iż podchodzę do niego z tyłu na odległość jakich dziesięciu kroków, że opuszczam się potem na ręce i kolana i na czworakach czolgam aż na sam brzeg dołu.

Tu dopiero zatrzymałem się i w dół spojrzałem.

Siedział w nim skulony i zwrócony do mnie plecami. Księżyc świecił wprost nas, więc cień mój nie mógł mnie zdradzić. Przed nim stał spory kuferek żelazny, w znacznej jeszcze części swej wysokości pograżony w piasku, objęty w pół potężną sztabą żelazną ze skoblem, zamknięty na olbrzymią kłódkę stalową. Na zardzewiałem wieku spostrzegłem dwie grubo wyryte litery: A. T.

Wstrzymałem oddech w piersi.

On wyciągnął z kieszeni klucz mego dziada i zdmuchnąwszy piasek z kłódki, wpuścił klucz w zamek. W chwili, gdy z nadzwyczajnem wyteżeniem zakręcił kluczem, zamek przeciągle zazgrzytał.

Stałem teraz tuż nad nim z obnażonym nożem w rękę.

Czas jakiś mocował się jeszcze ze sztabą, żeby ją ze skubła zsunać, poczem podniósł z trudnością ciężkie, skrzyjące wieko. Oba spojrzeliśmy naraz i oba zostaliśmy olśnieni... osłepieni niemal.

W pierwszej chwili wraz z blaskiem księżyca poraził oczy moje snop iskrzących się promieni, migocących wszystkimi kolorami tęczy. Aglomerat jaskrawych farb zlewał się tu w jakąś harmonijną całość, chociaż połyskiwał na przemian czerwonymi, szafirowymi, błękitnymi, fioletowymi, pomarańczowymi, zielonymi i ciemno purpurowymi barwami. Poczem, gdy wzrok nieco odpoczął, dostrzegłem, że wszystkie owe różnokolorowe blaski tryskają z drogotnych, mniejszych i większych kamieni, tworzących zbiór godny królewskiego skarbcza.

Stumiłem westchnienie zachwyty i patrzyłem znowu.

Dyamenty, brylanty, szafiry, ametysty, opale, szmaragdy, turkusy leżały w skrzyni, pomieszczone chaotycznie z sobą i przedziwnie lśniły w srebrnym